

ROZDZIAŁ 10 - WIELKIE PICIE

Dlaczego akurat Dunajec? Ponieważ Wisła tutaj nie płynie, aczkolwiek wpada do morza, jak Dunajec za jej pośrednictwem, czyli właściwie Wisła tędy przepływa, więc morze jest tuż tuż (orkiestra też tusz tusz). Tym samym gangsterzy zwabieni jodem przebywają nad rzekę często, dzięki czemu ich tarczycza jest zdrowa jak ryba, a w zdrowej rybie - zdrowa tarczycza. Ponadto Badygard, łamiąc sobie język nad językiem niemieckim przetłumaczył nazwę rzeki w następujący sposób: "Du naj etc.", co może by oznaczać: "Ty jesteś najwspanialszy i tak dalej". Naszego gangstera strasznie to dowartościowało i natchnęło do odkrycia kolejnej nieznanej mu strony świata, mianowicie odkrył strony w książce.

Wprawnemu czytelnikowi nasunie się natychmiast pytanie - dlaczego młodzieńcy tego kalibru zatruwają swój organizm alkoholem? Dlaczego nie zachowują się tak jak inne nastolatki? Zamiast popadać w czeluść nałogu mogą oglądać telewizję, umawiać się z dziewczyną i jej nie bić, uprawiać sporty, puszczać latawce, zbierać żołędzie i wachać sosny.

Świat ma przecież tyle kolorów, tyle stron, więcej nawet niż przeglądarka internetowa, a przecież internet to delikatna pajęczynka informacji spowijająca naszą geoidę. Ach! Gdyby o tych wszystkich stronach wiedział Badygard, zapewne nie piłby. A gdyby Badygard nie pił, nie byłoby "Kogo Egito" i nie byłoby tym samym dociekliwego czytelnika, więc ten, kto zadaje powyższe pytanie przeczy samemu sobie.

Ursus i Dżan Luka nie zadawali sobie takich pytań. Rzeka daleko niosła melodię ich rozmów:

- ... i wtedy ja pytam, czy to ma być dowód miłości... - żywo opowiadał podchmielony prostym winem Dżan Luka. Spragnionym opowieści przyjaciółom tak zdawkowe potraktowanie nie przemawiało do wyobraźni. Domagali się wszystkich szczegółów i z otwartymi ustami łapczywie czekali na dalszy ciąg przygody.

- I co? I co? - zafrasowani pytali nie zamykając ust.

- Co miało być? Zabrała nas na zaplecze... - casanova zawadiacko uśmiechnął się pod wąsem, podsycając ciekawość przyjaciół.

- W ogóle to się okazało, że ona jest Francuską... - Ursus nie wytrzymał presji i powąchał sosnę koleżanki siedzącej obok.

- Jaaaaa... - syczała podsycona, ciągle nienasycona ekipa.

- A my to po francusku ani słowa nie znamy... - przypomniał Dżan Luka.

- No może poza "o kay"... - sprostował Ursus, nie przestając wachać sosny.

- I jak? Co było dalej? - szalała z ciekawości rozgrzana, aczkolwiek w środku zimna jak lawa, grupa.

Dżan Luka, nie zwracając uwagi na sięgające zenitu emocje towarzyszy, pociągnął z gwinta kieliszek wina i dotarł do sedna opowieści:

- Wchodzimy na zaplecze, a tam prezerwatywa leży na kanapie... - wypowiadając te słowa czuł wyższość nad swymi kolegami, czekał na pochwały i uznanie, na kolejne pikantne pytanie odnośnie świntuszenia, którym chciał się pochwalić.

- A kanapa była z szynką? - zapytał nieśmiało ktoś z grupy, niezbyt trafiając w oczekiwania Dżan Luki. To pytanie rozpętało prawdziwą burzę mózgów w grupie.

- Co ty? W piątek z szynką? Z żółtym serem raczej... - odezwał się drugi głos.

- A chleb jasny czy ciemny? - zagadnął ktoś trzeci.

- Skoro to było rano, to jasne, że jasny - odpowiedziała kolejna pijana persona. Ci ludzie nie mieli imion, a ich twarze zlewały się w jedną wielką pijacką gębę, upupioną przez alkohol.

- Ale słuchajcie dalej !!! - Dżan Luka próbował przekrzyczeć towarzyszy, jednakże nikt go już nie słuchał. Rozmowa zanarchizowała się, pojawiły się różne teorie, na przykład taka, że kanapa, a dokładniej hot - dog jest symbolem męczyzny. Ma parówkę i sałatkę, a bułka to jego włosy.

Dżan Luka zapomniany i zrozpaczony zwrócił się ze smutkiem w głosie do nieprzerwanie wachającego sosnę Ursusa, jako do ostatniej deski ratunku:

- Nikt na mnie nie zwraca uwagi.
- Co?

- Ale nas interesuje co było dalej!!!

Czytając w naszych myślach, wszędobylski prezenter pośpieszył nam z pomocą dydaktyczną, jak przystało na psa bernardyna (zakochanego), którym nie był, lecz wprawnego czytelnika mogła zmylić barylka rumu na szyi i odwrócony czerwony krzyż PCK w kształcie półksiężyca - symbol pacyfizmu i logo firmowe Mercedesa (koncern produkujący samochody z siedzibą w Niemczech). Von Zoom, bo o nim mowa, przetarł swą monokle na cyklopiu oku i zasapał:

- Uuuuuuf - po czym skończyły mu się baterie, lecz na szczęście przyniesiono mu baterię łazienkową. Orzeźwiony nową baterią zaszumiał niczym woda spływająca do studzienki kanalizacyjnej:*
- W związku z oszczędnością taśmy rejestracyjnej i pracy aktorów wszyscy zainteresowani resztą sceny z Francuską mogą przeczytać sobie z planszy...*

Na ekranie pojawiła się plansza zapisana atramentem sympatycznym z dalszym tekstem sceny:

Dżan Luka uzyskawszy posłuch mówi:

- ... i wtedy wchodzi ta Francuska w samych majteczkach i mówi, żebyśmy się rozebrali...

W tym momencie przerywa mu jeden z kolegów:

- A mówiłeś, że nic po francusku nie rozumiesz...

Dżan Luka:

- Stary – może ja nie wiem jaki jest wzór Skłodowskiej na energię, może nie wiem, jak ma na imię Bill Clinton, ale wiem, kiedy laska mówi "rozbieraj się".

Towarzysz pyta:

- No i co było dalej?

Dżan Luka:

- Dalej był już tylko sex. Ale jaki sex - dziki, brutalny, zwierzęcy najpierw w basenie, a potem w balonie.

Koledzy chóralnie:

- Cool facet madafaka.

Post scriptum: prezerwatywa była na kanapie z ogórkiem...

Kartka znikła z ekranu.

Niezadowoleni z powodu, że znowu trzeba było czytać, prawie nie zauważyliśmy nie rzucającego się w oczy nieznajomego typka w szarym prochowcu, który przeszedł obok grupy pijaczków i wojaczków pytając:

- Jak przejść na drugą stronę rzeki?*
- Prosto – usłyszał w odpowiedzi.*

Nieznanomy podziękował, po czym wszedł do wody, skacząc na główkę.

ROZDZIAŁ 11 - POLICYJNY KLAN

Patrolowy radiowóz z piskiem opon wtoczył się na parking płatny, niczym kula bilardowa do luzu, po

drodze zawadzając o parkingowego i wlokąc go za sobą do koperty postojowej. Ptaki z filmu „Ptaki” na okolicznych sekwojach, zdawały się ogłaszać udaną akcję Super Capa i Plejstocena walcem Mendelсона, który jeździł po placu strasząc przechodniów. Sowy rubasznie pohukiwały "hu hu", jeże swawolnie turlały się po trawniku, kownackowski jelonek z ulgą, acz z pewną nieśmiałością i nieżnośną lekkością bytu unosił tylną raciczkę nad strumyczkiem, wypuszczając swym rogasiem napierający, ciepłutki strumień żółtej substancji uważanej powszechnie za nie nadającą się do spożycia. Stary ociężały borsuk przycupnął na krawężniku, wolno potakując w kierunku policjantów. Ten stary wiarus z Reggio nie widział w swym długim życiu dotąd tak wielkiego tryumfu organów ścigania, za to widział wiele innych Tryumf'ów, szczególnie zaś utkwiał mu pewien koronkowy, czerwony Tryumf spod Monte Cassino.

Cała przyroda opiewała tego popołudnia, na tym parkingu bohaterów wysiadających z radiowozu. Fanfaron nie byłoby końca, gdyby były i gdyby nadal była przyroda, a nie same autostrady, których u nas nie ma, przez co przyroda musi się kryć po lasach, co daje się we znaki leśnikom, gdyż niedźwiedzie obgryzają korę (Jackowską) i wyżerają bataty, zwalając wszystko na zachód i warchlaki, czyli watażki lochy. Widzimy jednak wyjście obopólnie satysfakcjonujące: zbudować więcej autostrad, udomowić niedźwiedzie, korę przerobić na hard core, a leśników wysłać w kosmos. Powyższy pogląd można uznać za dyskusyjny, ale po co dyskutować o przyrodzie skoro możemy porozmawiać o seksie, co właśnie czynili Super Cap i Plejstocen, wysiadając z samochodu:

- ... i wtedy ja jej pytam, czy to ma być dowód miłości.

- Wiesz co? Widziałem to już w poprzedniej scenie... - zbył Dżejka Super Cap pochłonięty dogaszaniem zapalonego samochodu gaśnicą pianową.

Temat podchwycił skutny w kajdany Badygard, starając się sarkazmem rozmyć targające nim uczucie porażki:

- Założę się, że ona nie była prawdziwą Francuską...

- Stul pysk, nikt cię o nic nie pyta! - porucznik zdławił jego frywolną (free - wolną) uwagę.

Arogancja Badygarda nie wyprowadziła Plejstocena z równowagi i vice versa. Badygard z trudem zdusił gniew, spowodowany impertynencją Dżejka, która wyprowadzała go z równowagi. Patrząc na uśmiechniętą twarz porucznika, spowitą przyjemnym wspomnieniem rozlicznymi romansami z Francuzkami, chciał wymierzyć cios w jego rekiną szczękę, ale zamiast tego smagnął się tylko batem. Super Cap ugasił samochód i pragnienie nieznaną mu bliżej żółtą substancją z pobliskiego strumyka, po czym udali się na komisariat na komendę marsz.

Komisariat do złudzenia przypominał komendę policji, z tą jednak różnicą, że niewiele były do siebie podobne, bo były dwujajowe, jak Brandon i Brenda Walsh, ale nie jak Jacek i Placek. Stare mury ugiwały się pod ciężarem niewyjaśnionych, ciągnących się latami spraw. Co oczywiście jest jasnym przykładem nieudolności kolejnych rządów, gdyż jak powszechnie wiadomo w interesie wszystkich obywateli byłoby, gdyby wszystkie sprawy szły od razu do ukończenia.

Był to wysoki, wielokondygnacyjny, parterowy budynek. Jeden z wielu, jakie powstały w latach pięćdziesiątych w wyniku wyzysku proletariatu przez klasę robotniczą i kobiety. Bo tak naprawdę Bóg stworzył kobietę po to, by mężczyzna przestał myśleć i wznosił komisariaty, które mogłyby chronić pleć piękną przed bezmyślnymi mężczyznami. Teraz, gdy czasy już się zmieniły i runął niejeden mur, w tym najsłynniejszy, widoczny z kosmosu mur berliński, a także chiński, który co prawda nie runął, ale mnożąca się populacja Chińczyków skrupulatnie okrada go z poszczególnych cegieł, parafrazując znany szlagier grupy Pink Floyd "Another brick in the wall".

Mamy więc nową rzeczywistość, politykę miłości, program SETI, bankomaty, kolejną odsłonę serii FIFA, pióra kulkowe i wiele innych nowoczesnych rzeczy, na przykład równouprawnienie. Tak więc kobiety też mogą budować komisariaty, wedle starego powiedzonka "czy się stoi, czy się leży, komisariat się należy".

Komisariat, będący podmiotem lirycznym tego akapitu, jak i akapitu poprzedniego, tak jak Konrad, po

tym jak umarł Gustaw, ale zanim zrobiliśmy sobie czaj, był domniemanym podmiotem swojej matki przyrody w pozytywistycznej balladzie "Romantyczność", w której nieżyjący już autor przedstawia w krzywym zwierciadle dekadentyzm wiejskich elit, patrząc przez pryzmat pewnej nierozgarniętej prostej chłopki, której psychodeliczne urojenia nijak korespondowały ze szkiełkiem i okiem muzycznie uzdolnionego dziecka, jakim był zamieszkujący w Gdańsku leciwy Mendel i jego szkapa (nasza), którą spieniężył, a uzyskany tą drogą zastrzyk kapitału przeznaczył na budowę komisariatu, co zainspirowało Karola Marksa, do stworzenia teorii ewolucji pod tytułem "Kapitał", która nie spotkała się wszelako z aprobatą, gdyż naiwne podejście do tematu tabu przysłoniło Charlsowi oczy na parzący (czaj) problem komisariatów, ale pozwoliło mu zostać ojcem Winnetou w Mayu.

Bystry czytelnik zapewne już odgadł, że pieniądze Mendla posłużyły do wzniesienia komisariatu, który immanentnie znajduje się w centrum naszej uwagi, acz mniej bystry czytelnik/czka miał prawo nie rozszyfrować tej enigmy, co uczynili polscy naukowcy już w 1932 roku.

Komisariat - bo to o nim mowa - był zbitym jak pies reliktem epoki brązu (MŚ 1974) i jak większość monumentów tego typu miał dwa filary i swojego atlasa do glazury i fliz, a także całe mnóstwo drzwi, w tym jedne ewakuacyjne oraz The Doors, będące pomiędzy tym co znane, a tym co nieznane, czyli pomiędzy korytarzem, a pokojem (peace) Super Capa. Były stygmatyzowane symbolem białego gołąbka pokoju, a zarazem synonimem damskiego szaletu.

Mamy tu więc czarno na białym, czyli Murzynkę na sedesie, że kobiety nie tylko wnoszą komisariaty, ale również szalety, w których pracują jako babcie, a także korzystają z nich w sposób bardziej praktyczny niż mężczyźni, sadzając swoje badziewie na desce, nie mogąc przy tym cykać na ścianę, chyba że są w delegacji, gdyż wtedy nie są sobą i zwykle zdradzają mężów.

O niewierności żon już nie raz przekonał się empirycznie, na własnej skórze Super Cap, obcując z mass mediami oraz słysząc to wielokrotnie w radioodbiorniku TV, stojącym w świetlicy na stołówce, która w swym policyjnym menu miała dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem rodzajów pączków, w tym takie rarytasy jak pączek z marmoladą i z cukrem pudrem pakowany po dwie sztuki w ramach akcji sztuka dla sztuki. Notabene z kelnera też była niezła sztuka, ale nie był pakowany po dwóch, czego Super Cap zdawał się nie zauważyć, biorąc go dwa razy, w tym raz na pączki, a drugi raz do kina niemego.

Oprócz drzwi, stołówki ze świetlicą, telewizora, damskiego szaletu, w komisariacie był również szaleć męski, do którego drzwi oznaczone były symbolem czarnej mewy. Było także pomieszczenie, w którym zwykł urzędować znany nam już Kyzy. Pomieszczeniem tym była portiernia, znajdująca się na poddaszu i nie oznaczona żadnym symbolem. Kyzy ze swojej stróżówki widział wszystko i słyszał wszystko, mógł też czytać w myślach innych ludzi, miał nadludzką siłę sugestii oraz mózg Einsteina, ale o żadnej z tych przypadłości nie wiedział, za to umiał grać w kosza, pingla i beki. Myślał także, że potrafi również grać w dwa ognie, ale nie chciał za bardzo bawić się zapałkami, bo obawiał się nocnego moczenia, które i bez tego dawało mu się we znaki, ale uspokajała go myśl, że to z innych pobudek, których nie lubił przed dziewiątą.

Zatem Kyzy stykał się z każdą personą wchodzącą do komisariatu. Nie było inaczej i tym razem, kiedy to obok jego ambony przemykały postury Plejstocena i Super Capa wraz ze smagającym się pokutnie, zakutym w kajdanki Badygardem.

- Cześć Kyzy! - dziarsko przywitali go policjanci.

- Weżesienie?! - odrzekł Kyzy, kontynuując konsumpcję plakatu z rebusu, ciągle nie czując się zaspokojonym, mimo iż była to już dwudziesta ósma kartka, a leżącej obok postrzępionej gazecie pozostały już tylko trzy strony z rubryką sportową, z horoskopami i z krzyżówką.

Idąc holem Super Cap i Dżejka, poniewierając Badygardem, słyszeli śmiechy dochodzące ich nozdrzy ze świetlicy. Była to pora lunchu. Policjanci zgromadzeni wokół sznycła żywo dyskutowali o życiu i o pracy lecz w odwrotnej kolejności, tak że najpierw rozmawiali o pracy, a później o życiu, choć nie oznacza to, iż przedkładali pracę nad życie, wręcz przeciwnie - bez życia nie byłoby pracy, a bez pracy kołaczy.

Lubili lunch.

Zebrani wszyscy w tej ciasnej ciżbie czuli się rodziną słowem silną, ta więź pozwalała im przetrwać stan wojenny i wytrzymać zapach potu buchający spod fartucha kucharza. Ojcem tej rodziny był komendant Sznycel, stary wyga i wyjadacz pączków, aczkolwiek nie gardził też śledzikiem tudzież golonką, zdecydowanie nie lubił natomiast parówek, gdyż nie podobał mu się sposób ich przyrządzania, a poza tym nie jadał mięsa, ponieważ przypominało mu o smutnym dzieciństwie, kiedy to zjadł własny udziec barani, przekonany, iż to jest właśnie sznycel. I miał rację, gdyż tak się właśnie nazywał, czyli jego udo też było sznyclem, czego nie mógł zrozumieć jego ojciec i dziad, którzy nie należeli do rodziny policyjnej i jadali tylko kopytka i płucka, motywowani przygodami bohaterów książki "Puc, Bursztyn i goście".

Sznycel nie miał im tego za złe, gdyż nie miał nic prócz godności policyjnej i węchu psa tropiącego, dlatego pierwszy wyczuł woń gastronomu skomasowaną w szczecince pod fartuchem, za co odznaczono go orderem uśmiechu i nie musiał pić soku z cytryny. Dzięki temu incydentowi wzrosło morale ekipy, a jego autorytet sięgnął chmur niczym Drapacz - pies Sznycla, który jeździł koleją po koleinach życia Kamila Kuranta, będącego równocześnie maszynistą i owym kucharzem w stołówce policyjnej, w której pracował na pół gwizdka, a to z powodu rozdwojonej osobowości, rozrywającej jego byt na żywot maszynisty-gastronoma, a z drugiej strony świstaka, co pozwoliło mu nieraz świsnąć nieco ze sklepu, na przykład towar.

Podczas jednego ze skoków na wpadł w policyjne wnyki i kolczatki, zastawione przez Drapacza i tak oto zostali przyjaciółmi, a wkrótce potem śmierć zabrała Kuranta, zaś zrozpaczony Drapacz popadł w czeluść nałogu i zapewne popadłby w alkoholizm, gdyby swej dłoni ku niemu nie wyciągnął Sznycel. Od tego czasu obaj kochali się jak bracia, jak Kain i Abel, jednak nie chcieli dopuszczać się kazirodztwa, choć samotny Drapacz odczuwał po stracie Kuranta brak fizycznego spełnienia, którego nie odnalazł nawet w intymnym związku z policyjną suką.

Był nienasycony niczym roztwór EDTA i twardy jak woda, co owocowało w jego pracy kokosami, które zbijał bąkami, dając dobry przykład innym psom na komisariacie, wpatrzonych w niego jak w drugiego jaka w czasie chuci.

Drapacz, równie jak do Sznycla, przywiązany był do drzewa oraz do policyjnej macochy, która matczyła wszystkim policjantom, oprócz Drapacza i Sznycla, z którym współżyła w małżeństwie i w delegacji bez prezerwatywy.

Jadzia Sznyclowa z domu Halska, bo o niej mowa, wywodziła z brzucha swej matki, ale cudzej, gdyż ta cudzołożyła z ojcem z pierwszego małżeństwa, który okazał się później być albo nie być, dlatego matka nie mogąc na niego liczyć. Rachowała się z każdym, w wyniku czego namnożyło się dużo małych Halskich, w tym słynny Olgierd vel Olo, brat matki Jadwini przecinek bliżej z nią jednak nie spokrewniony.

Na tym lunchu Jadzi nie było, gdyż wyjechała na delegację. W tej sytuacji Sznycel był przygnębiony i zazdrosny, co wprawiało go w dowcipny nastrój, wyostrzony dodatkowo finką, po niedawno przebytej ospie, dlatego też nadużywał słowa „gałka”, bo człowiek jak nie ma co powiedzieć, to mówi 'gałka'.

Na szczęście Sznycel nie był zakochany w Jadwini na zabój, a to oznacza, że mógł przed snem marzyć o piersiach innej osoby, na przykład o swoich własnych, samych swoich oraz cudzych. Nic tedy dziwnego, gdyż Jadzia była amazonką, toteż Sznycel nie lubił ani jej, ani jej o jej, ani jej kuchni w ślepym M3 (miasto, masa, maszyna).

Być może Sznycel był ślepy, a może to świat z jego perspektywy był tylko czarną plamą, a jego perspektywy były szerokie niczym talia Jadzi, dlatego sięgał, gdzie wzrok nie sięga, tudzież kapeczkę dalej i nazad i mógł przewidzieć, że solaris za pięć miliardów lat (w nomenklaturze amerykańskiej będzie to odpowiednio five bilions years) rozteguje się i zgaśnie, a wtedy nie przeżyje nikt, nawet panna nikt, dlatego łatwiej było mu się pogodzić ze śmiercią Jadwini, która utonęła w jeziorze zanim wyjechała na delegację.

Śmierć Jadwini nie odbiła się echem, kiedy to policjanci uczcili pamięć swej macochy minutą ciszy, lecz jedynie przez przypadek, gdyż nie mieli nic do powiedzenia.

- Galka... - westchnął w głuszy Sznycel.

- W Polsce jak ktoś powie coś mądrego, to zaraz wszyscy go wyśmieją... - powiedział nieśmiało nieśmiały policjant. Wówczas to zgromadzeni w świetlicy policjanci ryknęli śmiechem.

Ich śmiech urwał się nagle, gdy otworzyły się drzwi i do sali weszli Dżej i Super Cap, pomiatający przed sobą Badygarda. Ci jednak nie zwrócili nawet na policyjny plebs uwagi kierując się wprost do sali przesłuchań.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lens, dodano 15.11.2010 08:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.